

**MUZEUM REGIONALNE W STALOWEJ WOLI
BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO**

MASZ TO JAK W BANKU!

PUBLIKACJA EDUKACYJNA DLA DZIECI



STALOWA WOLA 2021

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma rzekami... Znacie to? Tak zazwyczaj zaczynają się bajki. Nasza nie wydarzyła się jednak ani tak dawno, ani tak daleko. Nie ma w niej groźnych smoków, skrzatów w śmiesznych czapkach, okrutnych czarownic ani czekających na ratunek księżniczek. Czy więc historia, którą chcemy Wam opowiedzieć, jest bajką? Sami nie jesteśmy tego pewni, ale wiemy jedno – dla bohaterów naszej opowieści, to co wydarzyło się pewnego mroźnego, grudniowego popołudnia, było nie tylko niespodziewaną, ale i niesamowitą przygodą. Chcecie wiedzieć co przytrafiło się siedmioletniemu Mikołajowi i jego tacie Marcinowi? Tak? No to posłuchajcie...



Śnieg padał od dobrych kilku dni. Miasto przykrył puszysty, biały puch, a w Stalowej Woli na dobre zagościła zima.

W szkole nikt nie myślał o sprawdzianach i kartkówkach, a na szkolnych korytarzach raz po raz słychać było ożywione dyskusje na temat tego, która z zimowych zabaw jest najlepsza i dlaczego.

W piątkowe mroźne popołudnie grupa roześmianych maluchów wybiegła ze szkoły. Drzwi nie zdążyły się jeszcze dobrze za nimi zamknąć, a zatroskani rodzice już czekali na swoje pociechy. Dzieciom jednak wcale nie było łatwo się rozstać. Najchętniej pobawiłyby się jeszcze na boisku, porzucały śnieżkami lub ulepiły bałwana. Najwyraźniej jednak siarczysty mróz zaczął ich zbyt mocno szczypać w nosy, bo szybko rozbiegły się w stronę swoich rodziców.

– Mikołaj!

Chłopiec rozejrzał się dookoła. Za drzewami otaczającym szkolny plac zauważył czerwone auto i machającą do niego dłoń. Tato nigdy się nie spóźniał. Mikołaj mocno naciągnął czapkę na uszy, szybko założył rękawiczki i pobiegł w stronę znajomego samochodu.

– Cześć tato! – krzyknął wesoło.

– Wskakuj i zapnij pasy!

Mikołaj posłusznie wykonał polecenie. W samochodzie było przyjemnie ciepło. Zdjął czapkę i powoli wyplątał się z przydługiego szalika.

– Jak było w szkole? – zagadnął ojciec.

– Normalnie, tato. – Szelmowski uśmiech zagościł na twarzy chłopca. – Aaaaa... o mało nie zapomniałem! – Otworzył plecak, poszperał w nim chwilę i wręczył ojcu niewielką kartkę. – W przyszłym tygodniu idziemy na wycieczkę do banku i pani prosiła, żeby wszyscy rodzice to podpisali.

– Świetny pomysł! – Marcin bez wahania podpisał zgodę. – A co to za mina?

W przeciwieństwie do niego, Mikołajowi pomysł wcale się nie podobał. Mogliby przecież pójść na basen albo do kina, a tymczasem pani wymyśliła ten bank.

– Wiesz... wcale nie chcę tam iść. Co ciekawego może być w takim banku? Wszyscy chodzą w garniturach, cały czas coś liczą, no i nie ma tam żadnych zabawek. Nuuuuda!

Ojciec roześmiał się.

– Od kiedy zrobiłeś się taką marudą? – zapytał. – Możesz się bardzo zdziwić. W banku jest ciekawiej niż ci się wydaje.

– Na pewno nie. – Chłopiec upierał się przy swoim.

Przekomarzanie potrwałoby pewnie dłużej, ale w domu już czekał pyszny obiad. A ponieważ ani tata, ani Mikołaj nie mieli ochoty na zimny posiłek, szybko ruszyli w drogę.



– Zanim pojedziemy do domu, zatrzymamy się na chwilę przy bankomacie. – Marcin ostrożnie skręcił na parking. – Przy okazji pokażę ci, jak działa to urządzenie. Na razie nie będzie Ci to raczej potrzebne, ale kiedyś z pewnością ta wiedza się przyda. No nie rób takiej miny, to nam zajmie tylko kilka minut. – Marcin wysiadł z samochodu, wziął syna za rękę i ruszyli w kierunku bankomatu.

– Wygląda jak maszyna do gier – stwierdził chłopiec, gdy już stanęli obok urządzenia.

– Trochę tak, ale służy do czegoś zupełnie innego. Bankomatów używa się głównie do wypłacania gotówki. Dzisiaj prawie wszędzie można za zakupy zapłacić kartą, ale my musimy jeszcze skoczyć do naszego osiedlowego warzywniaka, a tam nie ma niestety terminala płatniczego. Właśnie dlatego potrzebujemy gotówki, czyli banknotów.

– Rozumiem – powiedział Mikołaj, który w międzyczasie zdążył już zainteresować się przyciskami na urządzeniu.

– Żeby pobrać pieniądze z bankomatu, musimy mieć kartę płatniczą – tłumaczył tato – i specjalny numer, tzw. PIN, który wpisujemy na klawiaturze. O, tutaj, popatrz – wskazał palcem.

– Ale po co jest ten PIN? – zaciekawił się chłopiec.

– PIN to specjalny tajny numer, który ma każdy posiadacz karty płatniczej. Gdybym na przykład zgubił kartę, nikt nie będzie mógł jej użyć, jeśli nie będzie znał tego numeru. Dzięki temu oszczędności, które mamy w banku, są bezpieczne.

– To nawet ciekawe. Pokażesz mi jak to działa?

– Jasne – odpowiedział tato. – Najpierw musimy włożyć kartę do czytnika. O tak. A teraz wpiszemy kod.

Marcin wstukał pierwszą, drugą, trzecią, a potem czwartą cyfrę. Lecz gdy nacisnął przycisk „Zatwierdź” stało się coś, czego żaden z naszych bohaterów się nie spodziewał. Padający śnieg zaczął wokół nich dziwnie wirować, zrobiło się bardzo jasno i nagle obaj poczuli, że nie stoją już na chodniku, lecz unoszą się w powietrzu.

– Tato, co się dzieje!?! – krzyknął chłopiec.

Marcin zdążył jeszcze chwycić Mikołaja za rękę, a potem zrobiło się bardzo, bardzo cicho...



CZY WIESZ ŻE...

Bank Gospodarstwa Krajowego powstał w pierwszej połowie lat 20. ubiegłego wieku w wyniku połączenia trzech banków galicyjskich: Polskiego Banku Krajowego, Państwowego Banku Odbudowy i Zakładu Kredytowego Miast Małopolskich. Pomysłodawcą tego połączenia był autor słynnej reformy walutowej, ówczesny premier oraz minister skarbu Władysław Grabski. Na czele nowo powołanej instytucji stanął dr Jan Kanty Steczkowski, którego trzy lata później na stanowisku prezesa zastąpił żołnierz Legionów Polskich – gen. dr Roman Górecki. To właśnie on określił podstawową ideę działalności Banku, która miała mu przyświecać w kolejnych latach: „Pojęcie zysku w BGK nie może być identyczne z pojęciem zysku w innej instytucji finansowej, bo BGK nie jest instytucją, która by pracowała na zysk. Zysk banku – to postęp ogólny w życiu gospodarczym Polski”.



Roman Górecki,
prezes Banku Gospodarstwa Krajowego
w latach 1927-1935 oraz 1936-1941
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



Wystawa budowlano-mieszkaniowa Banku Gospodarstwa Krajowego
w Warszawie na „Kole”; 1935 r.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

BGK zajmował się głównie udzielaniem długoterminowych pożyczek, realizował rządowe programy gospodarczo-społeczne, zarządzał przedsiębiorstwami ważnymi dla obronności kraju oraz współfinansował lub finansował wiele państwowych inwestycji, w tym dwa największe przedsięwzięcia przemysłowe II Rzeczypospolitej – budowę Gdyni i budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego. BGK to instytucja, bez której realizacja wielu inwestycji czasów dwudziestolecia międzywojennego byłaby niemożliwa. Bank był bardzo zaangażowany w rozwój budownictwa mieszkaniowego, co miało swoje odzwierciedlenie w tym, że cieszył się ogromnym zaufaniem Polaków.

– Tatoooooo!

– Jestem synku! – Marcin ścisnął mocniej dłoń malucha. Nie był pewien, co się właśnie wydarzyło, ale za wszelką cenę nie chciał, aby chłopiec się wystraszył. Z lekkim niepokojem, ale i ciekawością rozejrzał się dookoła. Zimowe, grudniowe słońce oświetlało delikatnie fasady budynków, a wiatr łagodnie potrząsał gałęziami drzew. Znajdowali się w zatłoczonej części miasta. Wszystko było jakieś inne. Ulicą spacerowali ludzie ubrani w stroje, które dziś ogląda się wyłącznie w muzeach. Po drodze mknęły zabytkowe samochody. Czy na pewno zabytkowe? Wyglądały, jakby dopiero wyjechały z fabryki. „Czyżbyśmy przenieśli się w czasie?” – pomyślał Marcin. Pomysł ten wydał mu się co najmniej niedorzeczny, przecież podróże w czasie są niemożliwe. A może jednak? Spojrzał na Mikołaja, potem na siebie. Oni również wyglądali zupełnie inaczej. Po puchowych sportowych kurtkach nie było śladu. Teraz niczym nie różnili się od otaczających ich ludzi.

– Mikołaj! Nie jestem pewien, ale chyba przenieśliśmy się w czasie. – Marcin spojrzał na syna, który jeszcze nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie wydarzyło. Patrzył pytającym wzrokiem na ojca i z niepokojem rozglądał się wokół.

– Ale jak to? Jak to w czasie? Dokąd się przenieśliśmy? – dopytywał z niedowierzaniem.

– Nie wiem, ale musimy to szybko wyjaśnić i pomyśleć, jak wrócić do domu. – Marcin starał się zachować spokój, ale nie było to łatwe. Wziął głęboki oddech i uważnie spojrzał na przestrzeń, w której tak nieoczekiwanie się znaleźli. Miasto, które początkowo wydawało mu się zupełnie obce, nie do końca takie było. Przypomnił sobie czasy studiów. Przecież przez pięć lat mieszkał w tym miejscu. Spacerował po tych ulicach. Budynki, na które obaj z Mikołajem teraz spoglądali, również były mu znane.

– Warszawa! Mikołaj, jesteśmy w Warszawie. Nie wiem, w którym roku, ale to na pewno Warszawa.

– Tato, to możemy pójść do cioci Haliny. Przecież ona tutaj mieszka. Na pewno nam pomoże! – Chłopiec po raz pierwszy od początku tej dziwnej przygody rozpromienił się, ale ojciec szybko ostudził jego zapał.

– Ciocia Halina zamieszkała w Warszawie dopiero w latach osiemdziesiątych, a my jesteśmy dużo wcześniej. I jeśli się nie mylę, to trafiliśmy do przedwojennej Warszawy, czyli do lat trzydziestych synku.

– I co teraz zrobimy? – Mikołajowi zadrżał głos, i choć bardzo się starał, żeby nie płakać, łzy same napłynęły mu do oczu.

– Nie płacz. Jakoś sobie poradzimy. I chyba mam pomysł jak. Skoro trafiliśmy tutaj przez bankomat...

– ...to musimy znaleźć drugi i wtedy wrócimy do domu – ucieszył się chłopiec.

– Obawiam się, że to nie będzie takie proste. W tym czasie nie było jeszcze bankomatów. Pierwszy powstał w 1967 roku i to nie w Polsce, tylko w Wielkiej Brytanii. Ale możemy poszukać jakiegoś banku. Może tam dowiemy się, jak wrócić do domu.

Marcin chwycił chłopca za rękę i ruszyli w drogę. Mijali elegancko ubranych ludzi, a ich oczom raz po raz ukazywały się piękne budynki przedwojennej Warszawy. Przypomniał sobie też, że najbardziej znanym bankiem przed wojną był Bank Gospodarstwa Krajowego. Z lekcji historii pamiętał, że założono go właśnie w Warszawie w 1924 roku, a główna siedziba znajdowała się przy Alejach Jerozolimskich. Przeszli już spory kawałek, gdy ich oczom ukazał się potężny gmach.

– Jest! – krzyknął Marcin. – Mikołaj popatrz. Widzisz ten budynek? Spróbujemy tam poszukać pomocy. – Podeszli bliżej. – Dzień dobry – zagadnął Marcin człowieka w kapeluszu, który właśnie ich minął. – Przepraszam, co mieści się w tym budynku?

– Jak to? Szanowny pan nie wie? – Mężczyzna serdecznie się uśmiechnął. – To nowa siedziba Banku Gospodarstwa Krajowego.

– Jesteśmy w Warszawie przejazdem – usprawiedliwił się Marcin.

– Miło mi zatem powitać szanownych gości. Nazywam się Roman Górecki i jestem prezesem tego banku. A to nasza nowa siedziba. Kilka dni temu oddaliśmy ją do użytku. – Prezes z dumą popatrzył na gmach. – Jesteśmy obecnie najprężniej rozwijającym się bankiem w Polsce. Muszę się szanownemu panu pochwalić, że działamy nie tylko w Warszawie, ale również w Gdyni, gdzie powstaje nowy wspaniały polski port, a nasz bank ma zaszczyt uczestniczyć w jego budowie. To będzie dla Polski prawdziwe okno na świat – rozmarzył się prezes.

– Czy pan pływał statkiem? – z zainteresowaniem zapytał Mikołaj. Uwielbiał morze i wszystko, co było z nim związane. – Takim dużym, pasażerskim? – dopytywał.

– Owszem chłopcze, pływałem. A i ty zapewne będziesz miał szansę to zrobić – odpowiedział. – Dzięki nowemu portowi w Gdyni będzie można pływać do najodleglejszych zakątków świata – dodał.

– Tato, jedźmy do Gdyni! Proooooooszę! – Pomysł na żeglowanie po morzach i oceanach od razu bardzo spodobał się Mikołajowi.

– Widzę, że z tego młodzieńca wyrośnie kiedyś wspaniały marynarz. – Prezes Górecki roześmiał się serdecznie i zmierzwił bujną czuprynę chłopca. – A może wolałbyś jednak w przyszłości pracować w banku? – zagadnął chłopca.

Mikołaj trochę się zmartwił. Pływać po morzach, odwiedzać dalekie, egzotyczne kraje – to było coś! Bank natomiast nie wydawał mu się szczególnie interesujący, a już na pewno nie mógł zapewnić tylu przygód ile służba na statku. Nie chcąc jednak zrobić przykrości panu prezesowi, który wydawał się być bardzo miłym człowiekiem, zapytał grzecznie, czy praca w banku jest ciekawa.



Prezes zamyślił się. Z kieszeni marynarki wyjął mały zegarek na łańcuszku i po sprawdzeniu godziny odpowiedział: – Po południu mam bardzo ważne spotkanie, a do tego czasu będzie mi niezwykle przyjemnie gościć was w moim banku. A ty chłopcze – zwrócił się bezpośrednio do Mikołaja – zobaczysz, ile ciekawych historii się tu kryje... Choć pozornie może wydawać się on mało interesujący... – Prezes Górecki uśmiechnął się tajemniczo.

Marcin i Mikołaj z ochotą przyjęli zaproszenie. Wejście do banku prowadziło przez potężne drzwi, za którymi oczom naszych podróżników ukazał się ogromny, wyłożony alabastrem i marmurem przedsionek. Wszystko pachniało nowością. Na Mikołaju największe wrażenie zrobiły prowadzące na pierwsze piętro schody. Z ciekawością rozglądał się po budynku, zastanawiając się, co jeszcze może kryć się w pomieszczeniach tego ogromnego gmachu.

Prezes Górecki z satysfakcją popatrzył na swoich gości. Widział, jak duże wrażenie wywarł na nich reprezentacyjny hol budynku, ale największą niespodziankę postanowił zostawić na sam koniec.

– Tu, na parterze – wskazał na przeszkloną ścianę po prawej stronie – mieszczą się pomieszczenia, w których pracownicy przeprowadzają bardzo ważne i skomplikowane operacje bankowe. Na wyższych piętrach znajdują się sale konferencyjne i gabinety, w tym również i mój – kontynuował. – A w podziemiach...

– W podziemiach? – zaciekawiał się Mikołaj.

– Spodziewałem się, że podziemia zainteresują cię najbardziej młodzieńcze – roześmiał się pan prezes. – Zamierzałem pokazać je wam na samym końcu, ale chyba możemy nieco zmienić plany.

Droga do bankowych piwnic prowadziła schodami prosto z głównego holu. Schodzili ostrożnie po stopniach, aż trafili na pierwszą potężną przeszkodę, która broniła dostępu do tajemniczych podziemnych pomieszczeń. Marcin zdążył się już domyśleć, dokąd prowadzi ich pan Górecki. Dla Mikołaja wszystko nadal stanowiło zagadkę.

– To tak zwane drzwi nocne – powiedział prezes. Ważą cztery tony, a do ich otwierania używamy tego. – Wziął do ręki dwa przedmioty i pokazał je swoim gościom.

Mikołaj szeroko otworzył oczy ze zdziwienia. Klucze, które właśnie zobaczył, były bardzo długie i wyglądały na ciężkie. Za tymi drzwiami musi kryć się coś naprawdę cennego – pomyślał.

Powoli minęli pierwsze, a następnie drugie zakratowane drzwi. Za nimi ujrzeli...

– Skarbiec – powiedział prezes – serce i duma naszego banku. To w nim przechowujemy złoto, depozyty i najcenniejsze bankowe akta.

Mikołaj rozglądał się z niedowierzaniem. Pomieszczenie było duże. Nie, ono było ogroooooomne! Największą jego część zajmował podwieszony pod sufitem skarbiec główny, pod którym znajdowała się... fosa.

– Fosa? – niemal krzyknął ze zdziwienia chłopiec, gdy prezes przybliżył im nieco historię tego miejsca. – Najprawdziwsza fosa? Jak w zamku? – dopytywał. Koniecznie chciał sprawdzić, co znajduje się na jej dnie. – Na pewno pływają w niej krokodyle – stwierdził.

Tato i prezes Górecki roześmiali się w głos.

– Nie Mikołaju, krokodyli tutaj nie ma – wyjaśnili. – Fosa powstała, aby wszystkie cenne rzeczy, które znajdują się w skarbcu, były jak najbardziej bezpieczne.

– Czy możemy zejść niżej? – zapytał chłopiec

– Panie prezesie! Panie prezesie! – Rozmowę przerwał nagle jeden z pracowników banku. – Otrzymałem nagły telefon z Ministerstwa. Minister Kwiatkowski właśnie do nas jedzie!

– Niestety moi drodzy, będę musiał pożegnać się z wami wcześniej niż planowałem. – Prezes zwrócił się do Mikołaja i Marcina. – Obowiązki wzywają. Panie Franciszku, proszę odprowadź moich gości do wyjścia. – Prezes skinął lekko głową na pożegnanie i pospiesznie udał się do swojego gabinetu.

– Bardzo miły pan – stwierdził chłopiec, gdy już opuścili mury banku. – To co? Teraz jedziemy do Gdyni, tato?

– W tej chwili musimy pomyśleć, jak się stąd wydostać synku. – Marcin, chociaż odzyskał już spokój, trochę się jednak martwił. Zupełnie nie miał pomysłu, jak wykaraskać się z tej awantury. – Idziemy.

– Zdecydował. – Rozwiązanie tej zagadki samo się nie znajdzie.

Spacerując ulicą zarówno Marcin, jak i mały Mikołaj trochę się zmęczyli. Dzień bez wątplenia był pełen wrażeń, a szukanie drogi powrotnej do domu, ku współczesności, nieco nadwyrężyło ich siły.

– Tato, możemy chwilę odpocząć przy fontannie? – zapytał Mikołaj.

Marcin zgodził się bez wahania. Musiał pomyśleć, a na razie żaden sensowny pomysł, jak wrócić do domu i zakończyć tę dziwną wycieczkę, nie przychodził mu do głowy.

– Popatrz tato, tu są pieniądze. – Mikołaj wskazał na fontannę. Ta nie wyróżniała się niczym szczególnym, fontanna jakich wiele w każdym większym mieście, ale niespodziewanie nasunęła Marciniowi pewien pomysł.

– Widzisz synku... Czasem ludzie wrzucają monety do fontanny, żeby wrócić w dane miejsce jeszcze raz. „Wrócić – pomyślał. A my chcemy się przecież stąd wydostać. Gdyby to było takie proste – moneta, fontanna i spełnione życzenie. Hmmmmm... A gdyby tak spróbować? Właściwie nic nie ryzykujemy” – mruknął pod nosem, i choć nie za bardzo wierzył, że to pomoże, z kieszeni marynarki wyjął monetę i cisnął ją na dno zbiornika.

I wtedy... słońce zaświeciło jakby mocniej, woda w fontannie zakotłowała się, zabulgotała i potężny wir po raz kolejny wciągnął obu naszych podróżników...



CZY WIESZ ŻE...

Każdy bank posiada swój własny, pilnie strzeżony skarbiec, w którym przechowywane są cenne przedmioty, takie jak sztabki złota czy pieniądze. Wstęp do bankowych skarbców mają wyłącznie osoby do tego uprawnione. Szczególny skarbiec znajduje się w siedzibie głównej Banku Gospodarstwa Krajowego przy Alejach Jerozolimskich w Warszawie. W podziemiach budynku umieszczono wiszący skarbiec o powierzchni prawie 700 m². Pod nim pozostawiono pustą przestrzeń i zbudowano fosę, która miała uchronić zgromadzone w skarbcu dobra przed ewentualnymi podkopami.

Kilka dni po wybuchu II wojny światowej z warszawskiego Dworca Wschodniego odjechał specjalny pociąg, który przewoził najcenniejsze akta i depozyty Banku Gospodarstwa Krajowego. W skrzyniach obok dokumentów bankowych znalazł się również skarb. Tym szczególnym ładunkiem były powierzone Bankowi przez Bibliotekę Narodową i Bibliotekę Seminarium Duchownego w Pelplinie bezcenne księgi: egzemplarz dwutomowej Biblii wydrukowanej w pracowni Gutenberga, Psalterz Floriański, Kazania Świętokrzyskie, XIV-wieczna kopia czterotomowej kroniki „Historia Polonica” Wincentego Kadłubka, „Rocznik Świętokrzyski” i rękopisy partytur Fryderyka Chopina. Ładunek, którym na osobiste polecenie wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowego zaopiekował się wiceprezes BGK – Wiesław Domaniewski – miał za wszelką cenę dotrzeć do Paryża. Akcja się powiodła, a skarby uratowane przez pracowników Banku Gospodarstwa Krajowego powróciły do Polski na przełomie 1959 i 1960 roku.



Bank Gospodarstwa Krajowego przy Alejach Jerozolimskich 1 w Warszawie; 1935 r.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

– Ale zimno! Gdzie my znowu jesteśmy? – dopytywał Mikołaj rozglądając się dookoła. Chłodny, przeszywający wiatr, który nieco dał im już w kość, niósł ze sobą dziwnie znajomy, charakterystyczny zapach.

– Chyba spełniło się twoje życzenie synku – powiedział tato. – Rozpoznajesz ten zapach? Mikołaj wciągnął mocno powietrze, zastanowił się chwilę i już nie mógł opanować radości: – Morze. Jesteśmy nad morzem. Hura! – krzyknął w zachwycie.

Właściwie nie znaleźli się nad samym brzegiem morza, lecz w środku jakiegoś miasta. Nie wyglądało na duże. Sprawiało raczej wrażenie letniskowej, turystycznej miejscowości.

– Mikołaj! Pamiętasz, gdzie byliśmy na wakacjach dwa lata temu?

– Pamiętam tato, w Gdyni – odpowiedział chłopiec.

– Coś mi podpowiada, że właśnie do Gdyni trafiliśmy.

– Niemożliwe – zaproponował malec. – Przecież Gdynia wygląda zupełnie inaczej...

– Masz rację, wygląda inaczej, ale w naszych czasach. A my chyba nadal jesteśmy w przeszłości i trafiliśmy na moment, kiedy miasto zaczęło się dopiero rozbudowywać.

– Czyli kiedy? – zainteresował się chłopiec

– W latach dwudziestych. Na samym początku Gdynia była miejscowością letniskową – kontynuował Marcin. Gdy rozpoczęto budowę portu, do Gdyni oprócz turystów zaczęli przyjeżdżać także robotnicy z całego kraju i trzeba było dla nich wybudować mieszkania. Pamiętasz, co powiedział nam pan Górecki, prezes banku, którego spotkaliśmy w Warszawie?

– No tak. Mówił, że jego bank bierze udział w budowie portu...

– Zgadza się. Ale dzięki BGK rozbudowało się też samo miasto. Na początku budynki powstawały w różnych częściach Gdyni, nikt tego nie kontrolował i zaczął się robić mały bałagan. Bank natomiast przekazał bardzo dużą sumę pieniędzy na opracowanie planu zabudowy miasta i dzięki temu przestano budować mieszkania tak chaotycznie.

– Aha, czyli zrobił się porządek – podsumował Mikołaj dumny ze swej pomysłowości. – Tato, a port? Pójdziemy go zobaczyć...? – Chłopiec szybko zmienił temat i raczej stwierdził niż zapytał. Tęsknił za morzem i jak najszybciej chciał się znaleźć na jego brzegu.

– Daj rękę – uśmiechnął się tato. – Możemy się tam przespacerować. Zresztą zdaje się, że jesteśmy niedaleko.

Ruszyli w drogę. Im bardziej zbliżali się do portu, tym więcej osób spotykali. W pewnym momencie zrobiło się nawet bardzo tłoczno.

– Patrz, tato! Morze! – ucieszył się chłopiec, wskazując na majaczącą w oddali taflę Bałtyku. Marcin ledwo usłyszał głos syna. Znajdowali się w samym środku wielkiego tłumu, który pospiesznie przesuwał się w stronę nabrzeża. Wszystkie oczy zwrócone były w kierunku portu. Tam dumnie prezentował się statek „Wilno”.



– Co to za okręt? – zapytał Mikołaj.

– To nie okręt, tylko statek handlowy. – Na pytanie chłopca odpowiedział niespodziewanie stojący nieopodal mężczyzna. – To pierwszy polski statek w historii, który wpłynął do naszego nowego portu. Za chwilę zacznie się uroczystość podniesienia bandery – dokończył.

– Tato, tato, podejdźmy bliżej!

Mikołaj pociągnął ojca za rękaw. Z niemałym trudem przecisnęli się przez wiwatujący tłum. Marcin podniósł syna, by ten lepiej widział, co się dzieje. Sam też miał nienajgorszy widok. Gdynia przygotowywała się do wielkiego wydarzenia. W tłumie znakomitych osób zgromadzonych na uroczystości dostrzegł znajomą twarz. Postawny mężczyzna w meloniku zdecydowanie się wyróżniał.

– Mikołaj, popatrz! Widzisz tego wysokiego pana w kapeluszu?

– Tego z wąsami?

– Tak, właśnie tego. To Eugeniusz Kwiatkowski.

– Kto? – To nazwisko nic a nic nie mówiło Mikołajowi.

– Ten pan to Eugeniusz Kwiatkowski, minister przemysłu i handlu – tłumaczył Marcin. – Bez niego port w Gdyni nigdy by nie powstał. Wiele rzeczy bez niego by się nie udało. Dzięki niemu mamy nie tylko gdyński port, ale także Stalową Wolę.

– Nasze miasto? Jak to? – zaciekał się Mikołaj.

– To dłuższa historia, kiedyś ci ją opowiem. A teraz popatrz, chyba idzie w naszą stronę. Może uda nam się z nim przywitać.

Rzeczywiście oficjalna uroczystość podniesienia bandery „Wilna” dobiegła końca. Eugeniusz Kwiatkowski w otoczeniu swych współpracowników ruszył w kierunku wiwatującego tłumu. Kłaniał się i odpowiadał na pozdrowienia mieszkańców Gdyni, którzy tłumnie przybyli na uroczystość. Od czasu do czasu przystawał, by zamienić z kimś dwa, trzy zdania, i szedł dalej. Mikołaj siedzący na ramionach ojca najwyraźniej przyciągnął jego uwagę.

– Kim jest ten młodzieniec? – zagadnął chłopca.

– Mam na imię Mikołaj i chciałbym zostać marynarzem – rezolutnie odpowiedział malec.

– W takim razie kolego życzę ci powodzenia w spełnianiu marzeń. – Minister wyciągnął dłoń, by uścisnąć rękę chłopca. Mikołaj trochę się zawstydził, stał w końcu przed bardzo ważną osobą, ale chęć przywitania się z człowiekiem, który zrobił tyle dobrych rzeczy, była silniejsza. A potem nie pamiętał już samego uścisku. Ledwo zdążył wyciągnąć dłoń, gdy coś zaświzzczało, zabuczało i tajemniczy wir porwał ich znowu w szaloną podróż w czasie. Czyżby tym razem do domu?



CZY WIESZ ŻE...

11 lutego 1920 roku symboliczny pierścień wrzucony w fale Bałtyku zaślubił Polskę z morzem. Wtedy, w związku z toczącą się wojną polsko-bolszewicką, nikt nie myślał o zajmowaniu się sprawami morskimi. Ale już w październiku, po zakończeniu walk, polski rząd podjął starania o wzmocnienie polskiej pozycji nad Bałtykiem. Kluczowa w tym zakresie okazała się decyzja o budowie gdyńskiego portu. Finansowanie tej potężnej inwestycji, która ruszyła w maju 1921 roku, nie mogło odbyć się bez udziału państwowej instytucji, jaką był Bank Gospodarstwa Krajowego.

Oddział BGK w Gdyni powstał w marcu 1927 roku i był ściśle związany z tym nowym potężnym przedsięwzięciem. Zadania oddziału koncentrowały się wokół rozwoju portu, rybołówstwa, handlu morskiego, ale także samego miasta, którego zabudowa wyrastała niczym grzyby po deszczu. Oddział BGK w Gdyni, dzięki wielu nowatorskim poczynaniom jego dyrektorów, nie tylko przyczynił się do rozwoju handlu zagranicznego idącego przez gdyński port, ale również do uporządkowania kwestii związanych z gdyńskim budownictwem mieszkaniowym.



Bank Gospodarstwa Krajowego
w Gdyni; 1938 r.
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



Budowa portu morskiego w Gdyni; 1934 r.; Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

– Wróciliśmy! Tato! Wróciliśmy do domu – zawołał uradowany Mikołaj. – To nasze osiedle!

Marcin uważnie rozejrzał się dookoła. Niby wszystko się zgadzało. Znajoma ulica, którą wielokrotnie przejeżdżał w drodze do pracy, budynki, które każdego dnia mijał odwożąc Mikołaja do szkoły... Coś było jednak nie tak – wszystko wydawało się jakieś nowe i zupełnie nietknięte zębem czasu. Współczesna Stalowa Wola prezentowała się znakomicie, ale po budynkach widać już jednak było upływ lat. A tu nic...

– Masz rację synku i jednocześnie jej nie masz. Trafiliśmy do Stalowej Woli – dodał – ale obawiam się, że nadal jesteśmy w przeszłości. Popatrz na budynki. To rzeczywiście nasze osiedle, ale wygląda tak, jakby dopiero niedawno powstało. Podejrzewam, że jesteśmy tym razem w 1938 albo 39 roku.

Marcin się nie mylił. Los po raz kolejny postanowił naszym podróżnikom spleść figla i tym razem przeniósł ich rzeczywiście do 1939 roku. Wylądowali w samym środku osiedla robotniczego, jednej z kolonii, które powstały w Stalowej Woli jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej. Budynki prezentowały się znakomicie. Skrzyły się w promieniach letniego słońca, a ich jasne elewacje pięknie kontrastowały z drzewami, których w mieście było zaskakująco dużo.

– Dziadek opowiadał mi kiedyś o początkach Stalowej Woli – przypomniał sobie Mikołaj. – Mówił, że to najmłodsze miasto w Polsce.

– Stalową Wolę zaczęto budować w 1937 roku, na krótko przed wojną – potwierdził Marcin – jako jedną z najważniejszych inwestycji COP-u – dokończył.

– COP-u? – zapytał Mikołaj. – Co to znaczy? Nie rozumiem – zmartwił się.

– COP czyli Centralny Okręg Przemysłowy. Po pierwszej wojnie światowej Polska znajdowała się w niezbyt dobrej sytuacji. Kraj był zniszczony, a ludzie nie mieli pracy. I wtedy właśnie polskie władze postanowiły coś z tym zrobić...

– Co takiego?

– ...wybudować fabryki, drogi, tory kolejowe, linie energetyczne i gazociągi. Dzięki tym wszystkim inwestycjom chciano poprawić sytuację gospodarczą Polski, no i miało się zmniejszyć bezrobocie. Ogromna część tych działań skupiła się właśnie na naszym terenie, który nazwano Centralnym Okręgiem Przemysłowym. Za kilka lat będziesz się o tym dokładnie uczył na lekcjach historii.

– Aha, rozumiem, ale... Tato – zastanawiał się Mikołaj – skąd mieliśmy na to pieniądze? Przecież budowa tylu fabryk, dróg i tych wszystkich innych rzeczy musiała straaaaasznie dużo kosztować.

Całkiem bystry ten mój siedmiolatek – pomyślał Marcin i uśmiechnął się do siebie. Mikołaj nie po raz pierwszy zaskoczył go ciekawym i trafnym pytaniem.

– Pieniądze pochodziły z różnych źródeł, na przykład z pożyczek zagranicznych – odparł. – No i nie zapominaj, że mieliśmy też Bank Gospodarstwa Krajowego.

– Ten bank pana Góreckiego?

– Tak, on brał udział w wielu państwowych inwestycjach i wspomagał je finansowo. O Gdyni już wiesz, ale budowa portu to nie wszystko. Na przykład oddział banku, który otworzono w Rzeszowie, powstał właśnie w związku z budową Centralnego Okręgu Przemysłowego. BGK wspierał też jedno z największych przedsiębiorstw produkujących amunicję dla wojska, czyli Starachowickie Zakłady Mechaniczne. A tam naprawdę sporo wytwarzano: armaty, działa przeciwlotnicze, przeciwpancerne, moździerze, granatniki i całą masę innych rzeczy, nie tylko dla wojska zresztą. Podobnie było z Fabryką Broni w Radomiu.

– Serio? – niedowierzał chłopiec.

– Serio, serio! – roześmiał się tato. – Ale to oczywiście nie wszystko.

– A w Stalowej Woli coś robili? No, to znaczy, czy bank coś tu robił? – dociekał Mikołaj.

– Jakbyś zgadł! No na przykład budynek, w którym mieszkamy, powstał między innymi dzięki pieniądзом z tego właśnie banku. I może Ci się to wydać dziwne, ale BGK sfinansował na terenie COP-u budowę prawie dziewięciu tysięcy takich mieszkań.

– Nie wiedziałem, że banki zajmują się tyloma rzeczami. – Mikołaj był autentycznie zaskoczony.

– Czyli nie są takie nudne, jak myślałeś? – zagadnął tato.

Jednak odpowiedzi już nie dosłyszał. W mieście zrobiło się nagle bardzo gwarno. Grupki odświętnie ubranych osób gdzieś szły, energicznie ze sobą rozmawiając. Dopiero teraz Mikołaj i jego tata zwrócili uwagę, że miasto rzeczywiście przystrojone było w odświętne barwy, a na domach i innych budynkach powiewały biało-czerwone flagi. Stalowa Wola szykowała się najwyraźniej do jakiejś wielkiej uroczystości, a mieszkańcy w pośpiechu podążali w kierunku stadionu.

– Jaki dziś mamy dzień? – Marcin zagadnął przechodzącą obok kobietę. Ta popatrzyła na niego z lekkim zdziwieniem, ale uprzejmie odpowiedziała. – 14 czerwca. No tak! – pomyślał głośno Marcin.

– 14 czerwca? Co to znaczy? – dopytywał Mikołaj.

– Tego właśnie dnia w Stalowej Woli miała miejsce wielka uroczystość – poświęcenie Zakładów Południowych. A to oznacza, że jesteśmy w 1939 roku. Marcin zerknął na zegarek. Zbliżała się trzynasta. Jeśli się pospieszymy, zdążymy na stadion. Niedługo powinien się tam pojawić prezydent Ignacy Mościcki i ktoś, kogo zdążyliśmy już dzisiaj poznać. Pamiętasz tego pana w meloniku, którego spotkaliśmy w Gdyni?

– Eugeniusza Kwiatkowskiego? Pamiętam. Też tam będzie? – zapytał chłopiec.

– Tak. Może dzięki niemu znowu uda nam się wrócić do naszych czasów. – Cała ta przedziwna przygoda, choć emocjonująca, zaczynała Marcina już nieco martwić. – Idziemy! – zdecydował.



Stadion tętnił życiem. Mikołaj chyba jeszcze nigdy nie widział tylu ludzi naraz. Do stołów, które tam rozstawiono, zasiadło kilka tysięcy osób. Byli to głównie robotnicy pracujący w Zakładach Południowych, którzy właśnie dziś mieli obchodzić swe wielkie święto.

– Niech żyje! Niech żyje! – rozległ się chóralny okrzyk. Oczy wszystkich zebranych w jednej chwili skierowały się w stronę wchodzącej na stadion grupy ludzi, gdzie w asyście urzędników i wojskowych pojawił się prezydent. Gdy brawa i wiyaty ucichły, rozpoczęła się oficjalna część uroczystości.

– Niech żyją pracownicy fizyczni i rzemieślnicy – przemówił do zgromadzonego tłumu prezydent – niech żyje ta najszersza rzesza Stalowej Woli, niech pracuje dla dobra naszego narodu i niech przyczyni się do rozwoju i dobrobytu kraju!

Zgromadzeni na stadionie mieszkańcy Stalowej Woli nagrodzili przemówienie Ignacego Mościckiego gromkimi brawami. Gdy oficjalna część uroczystości dobiegła końca, a prezydent wraz z małżonką zasiedli przy przygotowanym dla nich stole, Marcin zauważył, że na spotkanie z najważniejszą osobą w kraju przygotowuje się właśnie grupa dzieci. Gołym okiem można było zauważyć, że ubrane w odświętne stroje maluchy są bardzo podekscytowane.

– Mikołaj spójrz! To są dzieci w twoim wieku. Za chwilę spotkają się z prezydentem. Chciałbyś podejść do nich bliżej? – zapytał tato.

Mikołaja nie trzeba było długo namawiać. Wyrwał się ojcu i błyskawicznie dołączył do grupy rówieśników. On też chciał zobaczyć prezydenta, a skoro była taka okazja, to czemu nie.

Ignacy Mościcki był wysokim, siwym mężczyzną z wąsem. Towarzyszyła mu elegancko ubrana pani, która serdecznie uśmiechała się do każdego podchodzącego malucha. Dzieci nieśmiało ale grzecznie odpowiadały na wszystkie zadawane pytania. I chyba panu prezydentowi bardzo się to spodobało, bo każdemu z nich postanowił wręczyć pamiątkową monetę na szczęście. Podarował ją również Mikołajowi. Chłopiec grzecznie podziękował, uklonił się, obrócił pieniądze w rękę i... ku własnemu zaskoczeniu znów stał przy bankomacie, a mróz okrutnie szczypał go w uszy.

– Tato, wróciliśmy! Teraz naprawdę wróciliśmy – krzyknął.

Marcin odetchnął z ulgą.

– To była najdziwniejsza przygoda, jaką wspólnie przeżyliśmy – zwrócił się do syna i mocno go przytulił. „Pora wracać” – pomyślał.

– Zabierzesz mnie teraz do domu, tato? – zapytał malec.

– Masz to jak w banku synku, masz to jak w banku! – I puścił do niego oko.



CZY WIESZ ŻE...

Na początku grudnia 1938 roku na dziedzińcu Belwederu w Warszawie odbyło się szczególne wydarzenie. Pracownicy polskich banków państwowych przekazali armii wyjątkowy dar – specjalny egzemplarz bombowca PZL-37 Łoś o numerach bocznych 72.11 trafił do 212 eskadry stacjonującego na lotnisku Okęcie 1 Pułku Lotniczego. Samolot ufundowany został z prywatnych składek polskich bankowców, wśród których nie zabrakło też darczyńców z Banku Gospodarstwa Krajowego, o czym świadczy napis na jego burcie:

„Dar pracowników Banku Gospodarstwa Krajowego, Banku Polskiego, Państwowego Banku Rolnego, Pocztovej Kasy Oszczędności, Banku Polska Kasa Opieki”.



Przekazanie wojsku samolotu Łoś, ufundowanego przez pracowników: Banku Gospodarstwa Krajowego, Pocztovej Kasy Oszczędności, Banku Polskiego, Polskiego Banku Rolnego, Banku Polska Kasa Opieki; 1938 r.; Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO



Budynek BGK jest już zabytkiem i ostatnio obchodził swoje 90. urodziny. Bank Gospodarstwa Krajowego nadal działa, pomagając firmom, wspierając budowę mieszkań dla rodzin i dbając o lepszą przyszłość w wielu różnych dziedzinach.



MASZ TO JAK W BANKU!

PUBLIKACJA EDUKACYJNA DLA DZIECI

Koncepcja, tekst: Joanna Wójcik
Redakcja i korekta: Beata Trybuła

Fotografie ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego



www.muzeum.stalowawola.pl

ISBN 978-83-65145-56-7

Zrealizowano w ramach projektu:
Zakup silnika PZInż-Major do zbiorów Muzeum Regionalnego
w Stalowej Woli
Projekt dofinansowany przez Bank Gospodarstwa Krajowego

